



## **„La Sapienza” czyli mądrość po włosku**

**Studia fizyki w Rzymie**

*Szymon Pustelny*

*Student III roku fizyki UJ*

Rzym, „La Sapienza” najlepszy uniwersytet we Włoszech i największy uniwersytet w Europie. Kiedy w połowie września wyjeżdżałem z Polski wydawało mi się, że to początek wspaniałej przygody. I rzeczywiście, z tą jednak różnicą, że moja historia posiada zarówno jasne, jak ciemnobrunatne kolory.

Pierwszy problem, z jakim się zetknąłem, pojawił się z chwilą mojego przyjazdu do Rzymu. Biuro, które miało zapewnić mi zakwaterowanie w Rzymie, odmówiło pomocy twierdząc, że wysłane przeze mnie dokumenty do niego nie dotarły. Później okazało się, że jednak dotarły, ale niekompletne. Nikt nie słuchał moich tłumaczeń, że osobiście wysłałem wszystkie dokumenty miesiąc wcześniej, a później kilkakrotnie, przy pomocy poczty elektronicznej, starałem się dowiedzieć, czy wszystko jest w porządku. Do każdego e-maila dołączałem wszystkie przesłane faksem dokumenty. Skończyło się tym, że musiałem sobie radzić sam.

To był dopiero początek tzw. włoskiej organizacji. Kolejnym etapem było załatwienie wszystkich niezbędnych dokumentów. Choć większość tych czynności przebiegała „bezboleśnie”, to ja najlepiej pamiętam te, które nastręczyły mi trudności. Pamiętam jak przez przeszło dwie godziny szukałem budynku, w którym mieściło się biuro wyrabiające dokumenty niezbędne do wydania magnetycznej karty stołówkowej, i jak później przemierzałem ten budynek, kierowany wskazówkami ludzi schodziłem aż do piwnicy, by za kilka chwil znaleźć się w gabinecie Pana Rektora. Pamiętam uszkodzenie systemu komputerowego, wydanie mi karty na okres od września 2000 do lutego 2000. Pamiętam w końcu uzbrojonego strażnika – zabrał mnie do jakiegoś pokoju, w którym wzięwszy moją kartę zaczął coś na niej zmieniać używając jakiegoś zupełnie nieznanego języka programowania. Dziś na te wydarzenia patrzę z uśmiechem, ale wtedy kosztowały mnie bardzo wiele nerwów.

W końcu przyszedł październik i, podobnie jak w Polsce, rozpoczęcie roku akademickiego. Pierwszą rzeczą, która mnie uderzyła na uczelni, była ilość studentów. Setki. Na jednym z wykładów, na który uczęszczam, jest ponad 100 osób. Jest to tym bardziej zadziwiające, że równoległe prowadzone są trzy wykłady z podstaw fizyki teoretycznej. Na wykładzie z podstaw fizyki atomowej i jądrowej jest „zaledwie” 40 osób, choć jak twierdzą moi znajomi do egzaminu podejdzie trzy razy więcej studentów.

Pierwsze dni na uczelni nie były łatwe, zwłaszcza dla mnie, osoby nieznającej języka: nowe środowisko, nowi ludzie, a towarzystwo tak zróżnicowane. Ale może zacznę od początku.

We Włoszech studia są sposobem na życie. Dlatego przeciętny student spędza na nich około 8 lat. Jest to tym dziwniejsze, że w czasie całych, trwających teoretycznie 4,5 roku studiów student musi zdać zaledwie 10 egzaminów. A to właśnie ta „niesamowita” ilość nauki jest podstawowym powodem, którym Włosi tłumaczą tak długi okres spędzony na uczelni.

Z jednej strony uderza duże rozwarstwienie wiekowe studentów, z drugiej studencki styl. Styl nonszalancki, a często niegrzeczny, ma swoje źródło w anonimowości, która rodzi swego rodzaju bezkarność.

We Włoszech ćwiczenia do wykładów odbywają się zazwyczaj w tej samej sali, w której prowadzony jest wykład. Podczas nich prowadzący rozwiązuje przykładowe zadania pod kątem egzaminu. Trudno zatem mówić o indywidualnym kontakcie na linii prowadzący-student i być może dlatego studenci pozwalają sobie na pewne zachowania, których by się nie dopuścili w innym przypadku. Nagminne spóźnianie się, siedzenie w czapce na wykładzie czy ostentacyjne opuszczanie sali podczas nudnego wykładu są tylko przykładami lekceważącego stosunku do prowadzących. O ile część rzeczy można próbować tłumaczyć różnicami kulturowymi pomiędzy Polską i Włochami, to części zachowań nie da się wytłumaczyć inaczej niż brakiem kultury.

Inna sprawa to wzajemne stosunki pracowników wydziału i studentów. O ile kadra naukowa odnosi się do studentów bardzo przychylnie, o tyle pracownicy administracyjni starają się na każdym kroku udowodnić, że się jest „darmozjadem”. Wszystko zaczyna się w bibliotece, gdzie jest się traktowanym protekcjonalnie. Normalny student nie może wypożyczyć książki do domu, nie wolno mu skorzystać z Internetu. Jedynym chyba rozwiązaniem w pracy tutejszej biblioteki, które wzbudziło mój entuzjizm, jest fakt zatrudniania studentów. Każdy student, co najmniej trzeciego roku może po przejściu odpowiedniego kursu i zdaniu egzaminu podjąć pracę w bibliotece. Praca ta choć nie jest wysoko płatna, daje możliwość zarobienia przysłówiowych paru groszy.

Zawsze trudne są próby porównania poziomu na dwóch różnych uczelniach. Jakimi kryteriami się kierować? Czy ważniejsi są wykładowcy, czy forma prowadzonych zajęć? A może ważniejsze jest to, jak studenci podchodzą do swoich obowiązków?

Jednym z kryteriów, jakie można by zastosować do przeprowadzenia takiego porównania są polecane podręczniki. We Włoszech studenci przeważnie korzystają ze skryptów przygotowanych przez wykładowców. Wtedy prowadzący zazwyczaj wyświetla na ekranie strona po stronie kopię swojego skryptu i ogranicza się jedynie do krótkiego komentarza. Jest to bardzo nużąca i, bądźmy szczerzy, nudna metoda. Nie jest to oczywiście regułą. Są również wykłady, do których proponowana jest bardzo bogata literatura. W jej skład wchodzi podręczniki uznanych światowych autorytetów. Takie wykłady są jednak rzadkością.

Chyba jednak najbardziej niezrozumiałym dla mnie faktem, z jakim zetknąłem się na rzymskiej „La Sapienzy”, był brak ogólnodostępnej, studenckiej pracowni komputerowej. Na tak liczny wydział nie ma ani jednego komputera, z którego można by przeglądać zasoby internetowe czy wysyłać pocztę elektroniczną. W szczególności możliwość wysyłania e-maili była dla mnie bardzo ważna, gdyż była to jedyna możliwość regularnego kontaktu z Polską. Szukałem więc, mając się różnych sposobów, miejsca, z którego mógłbym wysyłać pocztę. Początkowo zaproponowano mi, abym korzystał z dwóch komputerów dostępnych w tzw. sali ERASMUSA. Jednak już podczas mojej pierwszej bytności w tej sali dowiedziałem się, że powinienem w niej przebywać tylko w obecności włoskich studentów. Przystałem na to. Gdy jednak po dwóch tygodniach znów przyszedłem do tej sali, tym razem w czasie, kiedy byli tam również włoscy studenci, dowiedziałem się, że nie mogę korzystać z komputera codziennie. Nic nie pomogły moje prośby i zapewnienia, że nie nadużywam niczyjej gościnności. Zostałem wyrzucony. Jako miejsce, gdzie mogę korzystać z Internetu podano mi bibliotekę wydziałową. Ale tu też miejsca nie zagrzałem długo. Jak się dowiedziałem komputery w bibliotece są dostępne tylko do przeglądania zasobów bibliotecznych. Ostatnią moją próbą było znalezienie sobie tutora, który by mi od czasu do czasu udostępnił jakiś komputer. Ale i to rozwiązanie szybko spaliło na panewce i zostałem bez dostępu „do świata”. A wydawałoby się, że dostęp do Internetu to w dzisiejszych czasach sprawa oczywista.

Jakie wnioski nasunęły mi się podczas mojej wizyty we Włoszech. Po pierwsze, nieprawdą jest jakoby poziom polskich wydziałów odstawał w jakiś sposób od poziomu uczelni zagranicznych. Wręcz przeciwnie. Poziom przykładowo w Krakowie jest wyższy niż w Rzymie. Śmiało możemy konkurować z uczelniami zagranicznymi. Wcale też nie wydaje mi się, że odstawiamy od Włochów organizacyjnie. Wypowiadam się tutaj oczywiście z pozycji studenta, który być może nie wie o wielu rzeczach. Niemniej jednak wydaje mi się, że wiele problemów jest w Polsce rozwiązanych lepiej.

Będąc we Włoszech wyzbyłem się jakichkolwiek kompleksów wobec studentów uczelni zagranicznych. Przytoczę więc znane polskie przysłowie: „Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej”.